Tom XVII. Nr. 6.

21. sierpnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O odpustach.

Świątobliwy u nas zwyczaj chodzenia po odpustach do miejsc cudami słynących, od wieków trwa z równą gorliwością, a Bóg błogosławiąc kraj tak pobożny, obdarzył go tyloma świętemi miejscami cudów, jak żadną inną krainę.

Rok rocznie ciągną pobożne procesye z śpiewem i chorągwiami, spieszą gromadki wiejskie i miejskie i cisną się tysiące ludu do źródła łaski i miłosierdzia.

Dla wierzących Bóg zdziałał cuda, na wierzących i pobożnych zlewa zawsze łaski z skarbnicy swojej, a smutni, słabi, żałujący grzesznicy, obdarzeni odpustami kościelnemi, odchodzą z miejsc cudownych pocieszeni, wzruszeni, skruszeni, poprawieni.

Wielki to grzech gdy na odpusta do miejsc cudownych, ludzie idą aby się napatrzyć, ubawić, coś utargować, a jeszcze większy, gdy grzesznik zastarzały niesie swoje grzechy do miejsc świętych bez myśli poprawy, bez chęci pokuty, przyjmując odpust bez żalu i pobożności. Znieważa największy skarb

łaski, popełnia świętokradztwo, miłosierdzie boskie depce, zaprawdę ciężki grzech! a przecie zaprzeczyć nie można, że zdarza się u nas często.

Kto widział kramy przepełnione po odpustach piwem i wódką, hałaśliwy krzyk i ścisk, kradzieże i oszukaństwa popełnione w czasie odpustów, kto widział pędzące na odpust fury, ładowne pierogami i chlebem, a wracające w południe już nazajutrz, właśnie gdy się największe nabożeństwo odbywa, z śpiewem i krzykami, z kupionemi świecidłami i przysmakami, niewymijające karczem, musi przyznać mi że mam słuszność, a jeżeli jest człekiem nabożnym i uczciwym, musi westchnąć nad tem wszystkiem.

Często gęsto też niejeden nabroiwszy co niepoczciwego w swojej wsi, w swej parafii, wstydzi się swego księdza, boi się aby nie musiał oddać co ukradł, nagrodzić w czem kogo ukrzywdził, albo co podobnego, i przez wstyd, złą wolą wiedziony nie idzie do spowiedzi do swego pasterza, co jak dobry lekarz zna swego chorego i przykre ale zbawienne daje lekarstwo, ale idzie spowiadać się w mieście, albo jedzie na odpust i myśli w swojej ciemnocie, że uczyni zadość sumieniu, jeżeli wywiezie grzechy po za granicę domu i parafii, otrzyma rozgrzeszenie; bo czy pokutę odprawi czy nie, tego spowiednik wiedzieć nie będzie, ludzie się nie dowiedzą.

Jest to nadużycie wielkie i bardzo smutne Bóg nie odpuści, choć człowiek oszuka i siebie i kapłana, a kto wie jak trzeba będzie pokutować wstydnie i ciężko za te spowiedzie i odpusta nadużyte.

Jest w jednej wsi kobieta, wielka pijaczka, która już kilka razy odprzysięgała się wódki i zapisywała do bractwa trzeźwości, ale nigdy nie dotrzymała, a ile razy zasmakuje, to pije i cały tydzień ciągiem i leży pod płotem i choruje potem i stęka. Zawsze żółta jak glina, obdarta jak żebrak, chociaż zresztą zręczna jest z niej sługa.

Od niejakiego czasu ta kobieta widząc, że własny proboszcz rozgrzeszenia by jej dać niechciał, chodzi do spowiedzi do miasteczka. Raz poszła była właśnie, przyodziawszy się porzą-

dnie i wziąwszy ze sobą pięć reńskich zasług od gospodarzy, którzy ją trzymali przez wzgląd że krewna. Była to niedziela, luda dużo w mieście, szynki pełne gości; po świętej spowiedzi, niepoprawiona pijaczka poszła na rynek, spotkała się ze znajomemi i musiał tam być traktament nie lada, bo wieczorem nie było jej jeszcze w domu Minął poniedziałek, wtorek, i tak dalej, baby jak nie ma, tak nie ma. Ludzie się dziwili i wpadali na domysły, już miano jej iść szukać, aż we czwartek wieczorem przywlekła się słaba obdarta z wszystkiego, bez grosza przy duszy, i nikomu nic mówić nie chciała. Ludzie potem mówili, że gdy spała w szynku, okradli ją, a policya zabrała do aresztu, inni znowu, że gospodarz z drugiej wsi zabrał ją na wóz a na gościńcu zrzucił i rzeczy zabrał. Niewiedzieć co tam prawda, dosyć, że wszystkie pieniądze i odzież straciła, a rękę zwichnęła i odleżeć musiała; ale co najgorzej, to, że taką spowiedź św. odbyła! takiego grzechu świętokradztwa została winną! dotychczas niepoprawiona, żyje w pijaństwie i grzechu śmiertelnym, a od swojego pasterza stroni.

Podobnie stało się raz w innej wsi. Jednego wieczora, gdy bydło wracało z pola, zginął był piękny baran, gospodyni wdowy. Szukano daremnie i w nocy i nazajutrz. Spłakała się z dziećmi wdowa, a baran poszedł jak pod ziemię. Tak było jakiś czas, aż zaczęto przebąkiwać, że chłopaki bawiący się widzieli jak baran wpadł w podwórze Wasyla Hawrylaka i tam przepadł. Były już dawniej różne posądzenia na tego Wasyla i zdawało się, że tą razą prawda się pokaże. Niebyło jednak można dowieść nic i nic zrobić podejrzanemu człowiekowi. Dowiedział się o tem proboszcz miejscowy, który miał różne przyczyny posądzenia Wasyla, ale gorliwy o swoje owieczki, nie chciał zawstydzić gospodarza i zrazu milczał, aż dopiero po niejakim czasie kazał go zawołać do siebie.

Tymczasem cała wieś głośno mówiła, że Wasyl ukradł barana, i różne sekreta z domu jego wychodziły powoli na jaw. Posłany od księdza wieśniak, niezastał Wasyla w domu, bo właśnie pojechał z żoną na odpust do Sokala. Idzie więc nazad i poskrobawszy się w głowę, rzecze:

— Proszę Jegomości, nie ma Wasyla, powiózł barana do Sokala!

Zrozumiał czcigodny kapłan i zabolał gorzko, że wkradł się pomiędzy lud taki podwójny grzech. Wasyl obawiał się, że będzie musiał krzywdę nagrodzić, honor stracić, wysłuchać naganę, i powędrował na odpust! Ach czemuż go nie odepchnięto od świętych progów, które przestępował świętokradzko? Czemuż nieokrył się zasłoną obraz cudowny?

Bóg miłosierny czeka cierpliwie i znosi grzesznika, i zbrodnie nawet największe przebacza, ale kiedyś osądzi i ukarze strasznie tego, co znieważa bezbożnie Jego łaski i miłosierdzie.

B. E.

Tęsknota za krajem.

Król jeden chciwy ruszył na wojnę,
Wiodąc ze sobą szeregi zbrojne,
I naszedł ziemię swego sąsiada,
Gdzie go ciągnęła chciwość i zdrada.

Zburzył mu miasta, popalił sioła,
Nieuszanował nawet kościoła,
A gdy już wszystko zmienił w ruinę,
Przywłaszczył sobie jego krainę.

Waleczny książe tego narodu,
Poległ w obronie ojców swych grodu,
I tylko po nim spuścizna cała,
Biedna sierotka została.

Król dokonawszy niecnej roboty,
Chciał świat okłamać pozorem cnoty,
I niby dbały o los dzieciny,
Wziął ją ze sobą do swej krainy.

Na dworze króla świetnie, wesoło,
Pełno rozkoszy, uciech w około,
Ale dziecina od uciech stroni,
I pokryjomu gorzkie łzy roni.

Dano jej piękne suknie, szkarłaty,
Śliczne obrazki, przecudne kwiaty,
Dano jej złote cacka, klejnoty;
Lecz nic niemogło zająć sieroty.

Aż wreszcie król ją ofuknie gniewny:
„Zkąd ci ta żałość i ten płacz rzewny?
„Wszak masz tu wszystko, co pragnie dusza,
„Co cieszy oko i serce wzrusza,
„Masz piękne stroje, złoto, zabawę;
„Dlaczegoż zawsze twe oko łzawe?“

— „O! szczodry królu,“ rzecze sierota:
„Mnie niepotrzeba twojego złota;
„Obdarzaj innych skarbami twemi,
„A mnie daj garstkę rodzinnej ziemi!

„Weź twe rozkosze, twoje dostatki,
„A mnie daj trawkę z grobu mej matki;
„Bo nad słów twoich urok miodowy,
„Milsze mi dźwięki ojczystej mowy;
„A nad niewolę, chociażby w raju,
„Milsza śmierć dla mnie w ojczystym kraju!“

I zapłakała łzami gorzkiemi;
Taka jest miłość ojczystej ziemi!
A król co przyszedł gniewny i butny,
Odchodził teraz cichy i smutny,
Swego postępku żałując skrycie:
Lecz już nazajutrz umarło dziecię.

Fr. W.

Rybak nadwiślański.

Po sławnej bitwie pod Raszynem dnia 19. Kwietnia 1809 w której ośm tysięcy Polaków pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego biło się dzielnie z czterdziestu tysiącami wojska austryackiego, pobity arcyksiążę Ferdynand ofiarował taki układ, żeby Polacy opuścili Warszawę i jemu tam wejść pozwolili. Wojsko księcia Józefa, a było go już tylko sześć tysięcy, zabrawszy ze sobą zapasy wojenne, wyniosło się z Warszawy a

we dwa dni potem arcyksiążę Ferdynand otoczony swoimi jenerałami wjechał do stolicy, i zaraz obstawił się na około armatami, a po ulicach rozesłał patrole i warty, bo się bał i nieufał mieszkańcom. Książę zaś Poniatowski przeszedłszy most na Wiśle, kazał go za sobą zniszczyć, i stanął ze swojem wojskiem na przedmieściu Pradze, odciętem Wisłą od Warszawy.

Arcyksiążę jak z pałacu swego obaczył, że Polacy palą most i z Pragi się nie ustępują, a tak jakoś wojennie patrzą, jakby mieli ochotę jeszcze raz Raszyńską bitwę powtórzyć, układał sobie, żeby to można jako napaść na nich znienacka, a wyciąć co do nogi. Lubował sobie w tych myślach i prawie nie mógł już dłużej wytrzymać, aż oto zdarzyło się, że jednego dnia przyszedł do arcyksięcia ubogi ksiądz warszawski ze skargą na żołnierzy i ten ksiądz wysłuchał przypadkiem, jak się arcyksiąże nad tem naradzał ze swoimi jenerałami.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, cicho było w stolicy, tylko się szyldwachy tu i owdzie odzywały. Pośród ciemności, jakiś człowiek zawinięty w płaszcz, przesuwał się po przedmieściu zwanem Rybakami. Przyszedł do jakiegoś małego domku rybackiego i zastukał, a wnet otworzyły się stare drzwiczki. Skoro tam wszedł, pochwalił Pana Boga, powitał gospodarza i zaraz tak do niego zagadał:

— Stanisławie, kochasz ty ojczyznę?

— Czy ja ojczyznę kocham? odpowie rybak; toż miałem lat szesnaście, jakem poszedł służyć krajowi; a że dotąd nie noszę bagneta, to tylko dlatego, bo mi pod Zieleńcami pies Moskal odciął dwa palce.

Pokazał rękę.

— Jest jeszcze inny sposób służenia ojczyźnie, rzecze znów obcy; słuchaj Stanisławie, wiesz że książę Poniatowski...

— Książę Poniatowski! przerwał rybak niechętnie, nie mówcie mi o nim. I ja i cały naród myśleliśmy, że on jest naszym opiekunem, tymczasem on sobie spokojnie wychodzi z Warszawy i przypatruje się, jak tam wpadają Austryacy.

Obcy się oburzył jakby go kto ukropem oblał.

— Milcz zaraz, krzyknął — a nie sądź tego, czego nie rozumiesz; toś ty chciał, żeby książę Józef bronił Warszawy mając ledwie sześć tysięcy wojska? kiedyś taki mądry, to bądźże mi zdrów.

To powiedziawszy zabierał się do wyjścia, ale go rybak zatrzymał.

— Już mi wybaczcie, prosił — wybaczcie prostemu rozumowi, już nie rzeknę ani słowa, ale nie odchodźcie, póki nie powiecie pocościeprzyszli.

— Czy kochasz ojczyznę?

— Kocham, tak mi panie Boże dopomóż, a jeżliście równie dobry Polak jak ja, to niepytajcie o więcej.

— Słuchaj więc... oto pismo... los Polski zależy od tego pisma; jeżeli je oddasz księciu Józefowi do jutra przed południem, uratujesz nasze wojsko.

Rybak się zadumał.

-- Most zniszczony, łodzie albo popalone, albo w mocy nieprzyjacielskiej... a jakże ja się tam dostanę?

— Mój kochany, rzecze mu obcy — gdyby się tam można było dostać po moście, albo łodzią, pewniebym tu do ciebie nie przychodził; alem ja właśnie dlatego do ciebie przyszedł, bo wiem, że ty się tam dostaniesz i bez mostu i bez łodzi, a ja tego nie potrafię.

Rybak się zamyślił, a po chwili machnął ręką i rzekł:

— Dobrze, będę posłuszny, dajcie mi ten papier, książę Józef odbierze go w swoim czasie.., jeżeli mnie austrjackie kule nie zgładzą pierwej; jeżeli zaś zginę, pamiętajcie o mojej żonie i o moich dzieciach!

Obcy włożył mu na szyję krzyż z Chrystusem Panem i szepnął:

— Boże dopomóż!

Już noc okryła ziemię, księżyc wyglądał z za chmur, i odbijał się w Wiśle, a szmer fali przygłuszał robotę Stanisława, gdy odwiązywał małą łódkę, aby na niej popłynąć na Pragę.

Wiatr północny obiecywał pomyślną przeprawę, w tem, gdy łódka plusnęła w wodzie, zbudził się szyldwach i zawołał:

— Werda!

Zaraz ze wszystkich stron krzyknięto we trwogę. Żołnierze w białych mundurach snuli się po brzegu jak duchy nocne. Spuszczono kilka łodzi, dognano Stanisława, pojmano go i zaprowadzono do komendanta straży. Komendant kazał go przetrząść pilnie: rozebrali go i szukali nawet w kapeluszu i koszuli, tylko krzyża na szyi nie ruszali, bo któż by się domyślił, że w tym krzyżu może być co ukrytego. Tym sposobem papier, który powierzony został Stanisławowi, uszedł badawczego oka Austrjaków, bo właśnie był w tym krzyżu ukryty.

Stanisław się tłumaczył, że chciał ryby łowić, bo i on i jego rodzina nie mają co jeść; ale żadne tłumaczenie niepomogło, pogruchotano łódkę a jego samego zamknięto w areszcie.

Łatwo sobie wyobrazić strach Stanisława, gdy ujrzał słońce wschodzące. Niecierpliwił się, krzyczał i domagał się aby go puścili do żony i dzieci. Uproszony przecie komendant, pozwolił mu przechadzać się po pod wartą, póki nie przybędzie oficer, który go każe wypuścić albo zamknąć.

Stanisław odetchnął wolniej na powietrzu.

— Precz ztamtąd! wrzasnął żołnierz, widząc, że Stanisław coś za długo przypatruje się Wiśle.

— Precz ztamtąd! powtórzył jeszcze raz z gniewem, widząc, że jego rozkaz nie pomaga.

Stanisław nic nie słyszał; żołnierz zbliża się i odpycha go.

— Niech cię bieda bierze! zawołał rybak — chwytając silnie Austrjaka, i razem z nim rzucił się do Wisły... oba znikli pod wodą.

— Do broni! do broni! zabrzmiało na brzegu.

— Ognia! zakomenderował oficer.

Trzydzieści strzałów padło. Austrjacy spuścili czółno; po chwili znaleziono ciało zabitego żołnierza i... kapelusz Stanisława.

— Gdzież on? pytał się jeden drugiego. Nikt nie wiedział, dopiero po długiej chwili Stanisław wypłynął na powierzchnię wody.

Biedny rybak! pewnie zginie, pewnie nie wymknie się taraz! Gdziekolwiek się zwróci, śmierć go czeka. Rzeka szeroka, na środku mielizna, zarzucą go kulami, a jeżli pójdzie z biegiem wody, osłabnie i utonie. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, tysiąc strzałów pada i tysiąc strzałów chybia... W dali już tylko punkt czarny miga. Austrjacy nabijają armatę najbliższą, strzelają; chmura dymu zakryła punkt czarny. Ach! pewnie on tam kona walcząc z bólem i śmiercią; czekają aż chmura się rozejdzie.

Ale nietylko Austrjacy najedli się tyle trwogi. Z wierzchołka dzwonicy starego kościoła, człowiek jakiś, z szkłami w ręku, patrzy na prawy brzeg Wisły, widzi czołgającego się po piasku rybaka i trwoży się o niego.

— Boże! zbaw Polskę! zawołał usłyszawszy huk armatni, i upadł na kolana.

W tem, o cudzie Opatrzności! rybak zakryty chmurą dymu dostał się na drugi brzeg. Tam uwiązał na żerdzi chustkę i dał znak umówiony owemu człowiekowi na wieży.

Niedługo potem uderzono w Pradze we wszystkie dzwony, książę Józef odebrawszy pismo od rybaka, dowiedział się z niego, że arcyksiążę zamyśla uderzyć na niego; nie czekał więc, jeno postanowił go uprzedzić i stoczył bitwę pod Grochowem, w której austrjacki jenerał Mohr został strasznie pobity.

Po tej bitwie nieprzyjaciel cofnął się daleko od brzegów Wisły, a w sześć tygodni potem wyniósł się het za granicę.

Nazajutrz po owym dniu, ubogi proboszcz najuboższego kościoła w Warszawie odprawiał cichą mszę św. na podziękowanie Panu Bogu za zwycięztwo Polaków, a do mszy służył mu biedny rybak Stanisław.

Niedługo potem był w Warszawie Cesarz francuski Napoleon, dowiedział się o wszystkiem i własną ręką ozdobił

Stanisława takim orderem, co się nazywa krzyżem legii honorowej. Proboszcz też taki sam order otrzymał.

Mogiły pod Chęcinami.

Pan Bliziński, starosta Chęciński, długie lata pod królem Janem Sobieskim wojował z Turkami. Był pod Wiedniem, gdy Sobieski to miasto od Turków obraniał, i tak się tam popisał, że Niemcy wydziwić się nie mogli jego męztwu; potem poszedł z królem na Węgry, ścigać uciekających Turków, nabił ich co niemiara, i później jeszcze kilka razy dziwów na wojnach dokazywał. Ale nosił wilk, ponieśli i wilka. Jednego razu jak się przysadzili Turcy, tak porwali pana starostę do niewoli i pognali w dalekie kraje, a tam już nie mógł starostować i rozkazywać, jeno musiał służyć i bydło paść, jak prosty parobek.

Tam w niewoli poznał jednego Araba, który był człowiekiem szczerym i dobrego serca, a że był biedny, to służył u tego samego pana, u którego Bliziński zostawał w niewoli. Polubili się bardzo starosta z Arabem. Starosta mu rozpowiadał o swoim kraju, o swym pałacu w Chęcinach, o swoich skarbach i przyjaciołach, a Arab go pocieszał i ulżywał mu w pracy.

Trwało to przez czas jakiś, aż nakoniec niewola dojadła Blizińskiemu, że już niemógł dłużej wytrzymać i postanowił uciękać. Zwierzył się z tem przyjacielowi swemu Arabowi. Poczciwy przyjaciel nie zdradził go, owszem zachęcał, ośmielał, pouczał jak sobie ma postąpić, i tego jednego żal mu tylko było, że się z nim rozstanie, że utraci przyjaciela, którego tak pokochał.

Wzruszył się tem Bliziński, a gdy nadto rozważył, że bez pomocy Araba nie da sobie rady, bo ani drogi nie wie, ani języka tamtejszego dobrze nie umie, to się i popytać nie będzie mógł, bo zaraz po mowie poznają że zbieg i złapią, zaczął prosić przyjaciela, aby mu towarzyszył i obiecywał mu złote góry, jeżeli się z nim wybierze. Ale Arab podziękował

mu pięknie za wszystko i prosił aby tego nie żądał od niego, bo jemu żal ojczyzny, żal mu tej pustyni, w której się urodził; i choć tu nie ma rozkoszy, nie rad by ztąd się oddalać, bo woli biedę w ojczyźnie, jak największe szczęście za górami. Usłyszawszy to Bliziński, dalejże prosić go, namawiać i nakłaniać słodkiemi słowy.

Arab dla przyjaźni dał się namówić, i przyrzekł staroście że mu będzie towarzyszyć. Zaraz więc zaczęli radzić co mają czynić, jak się przygotować, które konie wybrać na drogę; a gdy nadeszła noc umówiona, byli całkiem w pogotowiu i dalejże w czwał przez stepy, co koń wyskoczy. Blizińskiemu serce biło z radości, bo uciekał do swoich, do ojczyzny, ale Arab był smutny i milczący, a im bardziej oddalał się od rodzinnej pustyni, tem posępniejszym się stawał; napróżno cieszył go starosta obietnicami.

Z tych dalekich krajów głębokiej Turecczyzny zajechać do Polski, to niełatwa rzecz była dla naszych wędrowców! Uciekali tylko stepami i polami, tylko nocą, bo się bali pogoni, do tego w tym kraju niebyło ani dróg, ani gościńców a tylko księżyc i gwiazdy służyły im za przewodników. Obadwa biedowali więc okropnie, ale jeden drugiego wspierał: Starosta Araba rozumem, jako człek w książkach uczony, a Arab starostę doświadczeniem.

W wielu razach i rozum i doświadczenie nie pomogło, wówczas modlili się oba, każdy po swojemu, prosząc Boga o ratunek, a Bóg miłosierny łaskawym był dla nich i sił im dodawał. Na domiar złego, padł ze znużenia ten koń, na którym jechał Arab, i odtąd albo oba razem na jednym koniu jechali, albo się mieniali.

Ale nakoniec po wielu dniach podróży przykrej a uciążliwej przybyli przecie do polskiej granicy. Od granicy aż do Chęcin nie było im już tak trudno. A kiedy dojechali do pałacu starosty, wierni słudzy wyszli naprzeciw z wielką radością i witali go jak dzieci ojca rodzonego. Nazajutrz zjechali się panowie z okolicy, zastawiono stoły, napełniono kielichy i pan starosta wypił najprzód za zdrowie swojego przyjaciela Araba,

który mu ucieczkę ułatwił, a potem drudzy panowie pili także zdrowie Araba, ściskali go i całowali, dziękując mu, że im powrócił przyjaciela. Nazajutrz znowu przyjechali panowie na ucztę, i to się powtarzało dzień w dzień. Wesoło było w pałacu pana starosty, muzyka przygrywała, dworzanie wytaczali z piwnicy beczkę za beczką, a panowie pili a cieszyli się. Arab ciągle obok swego przyjaciela starosty, w złocistych szatach, jada ze złotej misy, pija ze złotego puhara.

Starosta i koniowi, na którym z Turecczyzny przyjechał, dogadza w czem może. Stoi ów koń przy marmurowym żłobie, jada kiedy chce, pije kiedy chce, a nikomu nie wolno siąść na niego.

Czemuż to mimo tego wszystkiego czoło Araba zasępione, oko żałośne? Czemu i koń tak smutnie głowę zwiesza, a nóżką ziemię grzebie?

Pyta starosta Araba o przyczynę, ale on rzecze:

— Zdaje ci się panie, jakże bym mógł być smutny, kiedyś ty taki dobry dla mnie, kiedy mam wszystko u ciebie, czego tylko człowiek zapragnąć może.

Starosta niepytał już, ale śledził każden krok Araba. Długo nic nie mógł odgadnąć, aż raz w nocy ujrzał, że Arab wstał cichuteńko z łoża, przyodział się, i kędyś wyszedł z zamku. Czekał chwilę starosta, w godzinę Arab wrócił, legł znowu na łożu i zasnął.

Nazajutrz to samo się powtórzyło. Starosta był bardzo ciekawy, przysadził się więc na trzecią noc, i jak tylko Arab wyszedł z izby, krok w krok za nim postępował. Arab zeszedł na dziedziniec zamkowy a potem do stajni, do tej, w której stał ów koń, co starosta na nim przyjechał z Turecczyzny.

Koń jak tylko posłyszał kroki, zarżał z cicha, Arab ku niemu postąpił, obiął go za szyję i pieścili się z sobą, i jedno się tuliło do drugiego, a Arab płakał.

Widział to wszystko starosta, ale się z miejsca nieruszał, jeno stał z boku, dobrze ukryty i przypatrywał się pilnie.

Arab głaszcząc konia, szeptał coś do niego. Starosta nie mógł dosłyszeć wszystkiego, tylko tyle zrozumiał:

— Biedna, biedna ojczyzno, już cię nigdy nie ujrzymy; pomrzemy tu z tęsknoty, zdala od ciebie, i obca ziemia nas przykryje!

Jak to starosta usłyszał, domyślił się wszystkiego i wrócił cicho do zamku, a nic niemówiąc nikomu, ani służbie ani Arabowi, rozmyślał tylko, jakby jemu i temu koniowi, który takie uczucie pokazywał, ulżyć w tęsknocie, i ułożył sobie dać Arabowi dużo pieniędzy na drogę, i puścić go z koniem, aby sobie jechał do domu.

Zaraz też nazajutrz poszedł z tem do Araba, ale zastał go bardzo, bardzo chorym, w ciężkiej gorączce. Biedaczysko ani się ruszył na łożu. Starosta posadził przy nim najlepszego doktora, i sam siedział obok, i cieszył go, że go odeszle do ojczyzny, a Arab, choć tak ciężko chory, usłyszawszy to, uśmiechał się wdzięcznie, ale palcem ku niebu wskazywał, jakby chciał powiedzieć, że tam pójdzie, a nie do ojczyzny.

Jakoż nic nie pomogło, umarł biedak. Także i koń, gdy Arab przestał go odwiedzać, zachorował ciężko, rżał, rzucał się i zrywał, a jeść niechciał, najbardziej zaś niespokojny był w nocy, osobliwie o tej godzinie, o której Arab zwykle do niego przychodził. Nakoniec zdechł właśnie wtedy, gdy Arab umierał.

Zapłakał starosta, a nie mogąc odwdzięczyć się tym, co jego wolność życiem swojem okupili, chciał przynajmniej ich pamiątkę na wieki przechować. Kazał więc obudwom na podzamczu usypać mogiły: Arabowi z ziemi, a koniowi ze stu korcy owsa.

Kopce te do dziś dnia istnieją, i kto do Chęcin przyjedzie może je widzieć. Leży to miasto w kraju Polskim w powiecie Kieleckim, i sławne jest z tego, że tam marmur w wielkich masach wydobywają. Niegdyś było to miasto z wioskami okolicznemi przeznaczone na uposażenie wdów po królach polskich, i one mieszkały tu sobie spokojnie a wygodnie w wspaniałym zamku na wyniosłej górze. Z tego zamku są teraz tylko ruiny, bo go Szwedzi zburzyli. *Stanisław Krakowczyk.*

Piękna zabawka dla chłopców wiejskich.

Wiedzą o tem gospodarze wiejscy, jakie to szkody wyrządzają co rok gąsienice w ogrodach, po polach i lasach, wiedzą i o tem, że choćby ludzie najtroskliwiej je obierali, nic by w tem ludzka praca nie pomogła, gdybyśmy nie mieli ptaszków, co robaków wytępiają, bo temu co ptaszki robią, nie podołałyby miliony rąk ludzkich.

Posłuchajcie tylko: W jednym ogrodzie było kilka wysokich krzaków róż. Te róże od góry aż do dołu obsiadły maleńkie robaczki, co się nazywają weszkami, i tak je niszczyły, że róże omal nie poschły. Rozumny ogrodnik zmiarkował zaraz, że ani za tydzień nie potrafi tych krzaków oczyścić z robaków; nie zabierał się też wcale do tej roboty, ale wziął się na taki sposób, że przyniósł w klatce sikorę, i wpuścił ją pomiędzy róże. Sikora jak się przysiadła, tak nie długo ani jednej weszki nie było na różach.

Trznadle są także bardzo skore do wytępienia robaków. Doświadczeni ludzie wyrachowali, że para trznadli przynosi swoim pisklętom więcej jak trzydzieści robaków na godzinę.

Jest jeden gatunek motyli, którego każda samiczka znosi dwa razy do roku po sześćset i ośmset jajek. Z tych jajek wylęgają się gąsienice, które ogromnie dużo liści zjadają. Ale poczciwa sikora nie czeka, aż się z jajek wylęgną gąsienice, jeno zjada te jajka, gdzie je tylko napotka i swoim pisklętom znosi je bardzo pilnie. Tym sposobem wytępia codziennie kilka tysięcy szkodników. Sikorze pomagają wilgi i dzięcioły, bo przeszukują wszystkie drzewa w sadach i w lasach i wytępiają owady tak w lecie, jak w zimie.

Hrabia Kazimierz Wodzicki z Olejowa opowiada, że w roku 1848, niezliczona moc gąsienic objadła wszystkie liście na drzewach owocowych w jego sadzie, tak, że tylko gołe gałęzie sterczały. W jesieni ujrzał miliony jajek na wszystkich gałęziach. Coż tu począć? Najął ludzi i kazał te jajka zbierać; kosztowało to dużo, ale nie wiele się pomogło, bo ludzkie ręce do tej pracy nie sposobne. Hrabia już był przygotowany, że

straci najpiękniejsze drzewa, gdy oto zjawia się niezliczona chmura sikor i trznadli, a w kilka dni potem nie było już w sadzie ani jednego gniazda gąsienic.

Wróble są także bardzo pożyteczne, bo wraz z pisklętami zjadają ogromną moc robaków, a przez to wyświadczają gospodarzom przysługę, która daleko więcej warta, jak ta garść wiśni, albo kilkanaście kłosków zboża, które przytem zjadają. Puszczyki co rano i co wieczór polują na robaki i ćmy, i niszczą je tysiącami; szpaki, kawki, wrony, dudki i sroki zjadają mnóstwo chrabąszczy, a krogulce i sowy wytępiają myszy.

Najpożyteczniejsze ptaki w gospodarstwie są: drozdy, kosy, szpaki, pliszki, sikory, skowronki, ziemby, wróble, jaskółki, dzięcioły i czyżyki. Wszystkie zjadają miliony jaj motylich, gąsienic, robaków, much, komarów, chrabąszczy i ćmów, a to tak, że zbierają je albo z liścia, albo z kory drzew, albo je chwytają w powietrzu, albo też wygrzebują z ziemi.

A kiedy te ptaszki są takie pożyteczne, to gospodarze wiejscy nie powinni ich prześladować i płoszyć, jak to się często dzieje, ale powinni je owszem przynęcać wszelkiemi siłami, i baczyć, ażeby się u nich gnieździły. Ptaszki lubią się gnieździć w wypruchniałych i dziurawych drzewach, takich więc drzew nie trzeba niszczyć, ale je ochraniać; trzeba dziury czyścić, a nad dziurami położyć deszczułkę, żeby woda deszczowa ściekała. Trzeba też chłopcom zakazać wybierania z gniazd, owszem, niech się nauczą robić i przybijać gniazda dla szpaków i sikor, jak to się dzieje w innych krajach, gdzie gospodarze już od dawna wiedzą, jaki to z ptaków pożytek, i szanują je bardzo.

Te gniazda dla ptaków robią się tak, że bierze się gałąź jaką dziurawą, albo zbija się skrzyneczkę ze starych deszczułek i w zimie przymocowuje się ją na drzewie, nie spełna dziesięć łokci nad ziemią. Wybiera się zaś do tego takie drzewa, co leżą ku wschodowi, a na wiosnę wcześnie się rozwijają. Skrzyneczki dla sikor muszą mieć ćwierć łokcia długości, szerokie i wysokie na trzy palce, dla innych ptaków muszą być trochę większe. Jak już skrzyneczka gotowa, trzeba ją obwiązać

mchem i korą z drzewa, żeby ptak nie poznał, że to ludzka robota, bo się boi zdrady.

Można także pleść koszyczki z wikla zielonego i przybijać je gwoździem pod grubemi gałęziami drzew, takie zaś koszyczki muszą być na pięć palców szerokie a na cztery palce głębokie.

Rodzice i panowie professorowie, powinni zachęcać dzieci, aby próbowały robić i przybijać takie skrzyneczki i koszyczki. Będzie to dla malców uciecha, a dla gospodarstwa nie mały pożytek.

RÓŻNOŚCI.

(Sposób wygubienia mrówek.) Jeżeli kto chce pozbyć się mrówek z domu albo ogrodu, niech kupi wielką gąbkę, niech ją dobrze wymyje i wyciśnie, a potem wysuszy, aby jej komórki poroztwierały się; dalej niech na tę gąbkę nasypie trochę tłuczonego cukru, i niech ją położy w miejscu, którędy mrówki najwięcej przechodzą. Wkrótce zaczynają się one do tej gąbki schodzić, i w komórkach jej swoje mieszkania zakładać. Wtenczas potrzeba tylko od czasu do czasu, gąbkę do gorącej wody włożyć, a tysiące mrówek tym sposobem wygubi się. Tak postępuje się ciągle, dosypując czasem cukru, a doświadczenie pokazało, że tym sposobem można się w mieszkaniach i ogrodach na długi czas od mrówek uwolnić.

(Bardzo dobry ser z maślanki.) Robi się tak: Najprzód przegotowuje się maślankę, i stawia się ją w spokojnem miejscu, aby wychłódła, potem wlewa się ją do worka z mocnego płótna, aby serwatka odciekła, soli się ser, ale nie zanadto i dodaje się na kwartę sera, łyżkę rumu. Zagniata razem, i nadaje serowi kształt, jaki kto chce. Tak zrobione sery suszą się, poczem bierze się czyste płótno zmoczone gorącą serwatką, i sery zawija się w to płótno; naostatek pakuje się sery w faskę, dobrze przykrywa i stawia w ciepłem miejscu a w czternaście dni są już dobre do jedzenia. Im dłużej w fasce leżą, tem są smaczniejsze a zawsze lepsze od zwyczajnych serów.

(Ile też jest wody w człowieku.) Uczeni doktorowie wyrachowali, że człowiek ważący 150 funtów ma w sobie 113 funtów wody.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.